

KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 1

CHOJNICE, dnia 7. XII. 1928.

Nr. 5

JÓZEF CHEŁMIŃSKI

TAJEMNICA STAREJ CHATY

20

POWIEŚĆ SENSACYJNA Z DNI WSPÓŁCZESNYCH

Gustaw opuścił głowę na piersi i udał jak gdyby pytania nie zrozumiał. Siedział na stołku całkiem apatyczny. Przedstawiał smutny obraz fizycznego i moralnego przygnębienia.

Detektyw potrząsnął nim za bary.

— Gdzie Berta? powtórzył pytanie. zaraz odpowiadaj!

— Nie wiem!

— Ej, drabie jeden. Tylko bez wykrętów. No, odpowiadaj.

— Wyszła wczesnym ranem i jeszcze nie wróciła.

— O której wyszła i dokąd?

— Koło godziny siódmej. Dokąd, tego nie wiem. Wczoraj się pokłóciliśmy i zagroziła mi, że mnie opuści.

Pchła roześmiał się ironicznie:

— Wiesz ty bandyto, że myślałem, iż będziesz umiał sprytnie kłamać. Berta rano nie wychodziła, gdyż pilnujemy waszego domu od czwartej i moi ludzie wcale jej nie zauważyli. Dalej, przyznaj co się z nią stało. Bo...

Ostatnie słowa mówił tonem groźnym. Urwał raptem i spojrzał olbrzymowi prosto w oczy. Ten odwrócił swoje źrenice i błakał niemi po kątach pokoju.

— Trudno, nie chcesz się zdradzić z jakiejś nowej niegodziwości. Poszukamy sami, a ty pożałujesz twego uporu.

Rzekłszy to, Suchocki gwizdnął przeciągle i donośnie. W tej samej prawie chwili wkroczyło do izby kilku wywiadowców. Dwóch z nich, trzymając rewolwery w garści stanęło z obu stron Gustawa. Reszta patrzyła wyczekująco na Pchłę.

— Kobieta gdzieś przepadła, rozpoczął. Drab ten powiada, że go opuściła. Nie wierzę temu i raczej przypuszczam, że zrobił jej co złego. Musimy jej koniecznie poszukać. Zatem chłopcy prędko do roboty.

Niedługo trwały poszukiwania. Znalaziono Bertę na dnie piwnicy bez życia. Leżała na kamiennej posadzce już całkiem zeszywniała.

— Prędko, po lekarza! rozkazał Suchocki.

Po upływie dwudziestu minut doktor się zjawił. Przy świetle elektrycznych latarek obejrzał trupa, poczem wyjaśnił:

— Albo spadła albo została siłą zrzuconą. Upadając uderzyła ciemieniem o szczebel drabiny co spowodowało natychmiastową niemal śmierć. Przedtem musiała być maltretowana. Na ciele widnieją znaki silnych uderzeń.

— Dziękuję panu doktorowi, odrzekł Suchocki. Hej Pomidor, leć no zaraz z zawiadomieniem do pana prokuratora.

Następnie zwrócił się do Gustawa.

— Przyznaj się, tyś ją zamordował.

Opryszek nie zaprzeczał. Patrzał przed siebie szeroko rozwartymi oczyma. Odkrycie, dokonane w piwnicy, było dla niego niespodzianką. Nigdy nie przypuszczał, iż Berta leży tam pod jego nogami bez życia, nie spodziewał się, że w szale pijackim dokonał tak zbrodniczego czynu.

Właściwie kochał tę kobietę. Kochał ją naprawdę na swój sposób, nieraz bił ją i nad nią się znęcał. Nie pragnął jednak jej śmierci, ani myślał kochanki swej zabijać. Tymczasem przypadek zdarzył, iż oto on stał się mordercą tej, dla której chętnieby niejedno przecierpiał.

W sercu Gustawa rozgrywała się smutna tragedia. Budziły się w nim pod wpływem przerażenia i bólu uczucia lepsze, szlachetniejsze. Nasunęła mu się uwaga, iż gdyby był prowadził życie uczciwe i wstrzemięźliwe, znajdowałaby się Berta koło niego jeszcze, wesola i czuła jaką była przed dwoma laty, kiedy on pracował na szkodach w zajęciu tragarza. Och, niby wspomnienie o dniu słonecznym błakały mu się po mózgu obrazy owych szczęśliwych czasów. Uprzytomnił sobie, że jego upadek i nieszczęście zaczęły się z tą godziną, w której wstąpił na służbę „Pięcioramiennej Gwiazdy“.

I zrobiło mu się żal samego siebie. Owładnęła nim niepohamowana tęsknota za Bertą. Ścisnęło mu się gardło, piersią wstrząsnęło gwałtowne łkanie, z oczu puściły się lzy rzęsiście strugą.

Gustaw płakał.

Wywiadowcy spoglądali na niego z wyrazem niedowierzania. Co to ma znaczyć? Czy to nowy jaki manewr ze strony wyrafinowanego bandyty czy też przebłysk skruchy w zbłąkanym sercu, które nareszcie spostrzegło iż znajduje się na złej drodze?

Suchocki zrozumiał nastrój wewnętrzny olbrzyma i słusznie kalkul., iż ta chwila rzewności po raz drugi tak prędko się nie powtórzy i że w imię interesu publicznego trzeba wykorzystać moralne załamanie się Gustawa i wydobyć z niego, co się jeno wydobyć uda.

Odezwał się głosem łagodnym:

— I po co żeś to zrobił? Czy upadłeś już tak dalece, że mordujesz bezbronne kobiety.

Gustaw potrząsnął głową i odpowiedział, dusząc się łzami:

— Nnie panie Suchocki. Ja jej nie zamordowałem. Przynajmniej nie chciałem jej zabijać. Byłem pijany. Ona zagroziła, że pójdzie i nas zdradzi dla uratowania pana. Pokłóciliśmy się. Rzuciłem ją do piwnicy, chcąc do zdrady nie dopuścić. Co

dopiero wstałem więc nie zdążyłem zajrzeć do Berty.

— Wierzę ci Gustaw, przytaknął mu detektyw. Przyznaj mi jednak, że ta służba u „Pięcioramiennej Gwiazdy“ na dobre ci nie wyszła.

Olbrzym otworzył usta, żeby dać odpowiedź, lecz równocześnie zjawił się Pomidor i oświadczył

— Pan prokurator nadchodzi.

Suchocki wyskoczył swemu przełożonemu na przeciw.

Prokurator wszedłszy zajął natychmiast miejsce przy stole. Zwrócił się do detektywa:

— Dzielnie się pan spisałeś. Toć to istny majsterczyk wydobyć się z rąk takich pięciu drabów. Ale opowiedz nonam o twoich przygodach od początku do końca.

Suchocki zaczął raportować. Mówił sucho i rzeczowo bez jakichkolwiek upiększeń. Opowiadał o swojej przygodzie z Gustawem i Bertą, o swem uwięzieniu, o porwaniu go przez wysłańców „Pięcioramiennej Gwiazdy“, o swej brawurze, o ucieczce, o tem jak z Grudziądza samochodem pośpieszył do Torunia, jak zaarrestował Gustawa i o wypadku z Bertą.

Słuchacze słowa dedektywa poprostu połkali. Uraślał on w ich oczach do postaci bajkowego bohatera. Wierzyli mu bowiem co do joty. Suchocki nie lubił się przechwalać i zwykle przez skromność mniej o sobie mówił, niżeli mu to właściwie wypadało.

Skoro skończył, prokurator uściśnął mu serdecznie rękę.

— Winszuję, rzekł i proszę w dalszej walce nie ustawać a teraz posłuchamy tego kolosa.

Przytem wskazał ręką na Gustawa.

Gustaw zeznał to samo o śmierci Berty, co mówił Suchockiemu. Co do swej roli, jaką spełnił w bandzie „Pięcioramiennej Gwiazdy“ nie chciał zeznawać. Prosił o chwilową zwłokę, żeby mógł zebrać swe myśli.

Prokurator kazał go odprowadzić do więzienia. Sam powstał i żegnając dedektywa oświadczył:

— Pan chyba jeszcze pozostanie.

— Owszem panie prokuratorze. Muszę zrobić rewizję.

Rozstali się ze sobą.

Suchocki kazał swoim pomocnikom wyjść i zabrał się do poszukiwań. Pracował tak przeszło godzinę. Nic jednak uwagi godnego nie znalazł między papierami.

Zaklął siarczyście.

Wreszcie wpadał mu w ręce zeszyt, drukowany po polsku. Tytuł opiewał: „Opowiadania wojenne“. Na pierwszej stronie znajdowała się notatka ręczna treści następującej:

A K O 244 x 913 M P XII. Zapamiętać dobrze

— Co to ma znaczyć, pomyślał Suehocki. Prze rzucił dolne kartki. Pierwsza nowela miała tytuł: „Proboszcz z Międzyborza“.

— Przeczytam ją, zdecydował:

Utwór brzmiał następująco:

„Trzydziesty drugi rok mijał od dnia kiedy do Międzyborskiej parafji przyjechał trzęsącym wasażkiem młody wikary — ksiądz Wojciech Jodełka.

Niedługo znać było sądzonem młodemu księdzu Wojciechowi zostać wikariuszem międzyborskiego kościoła. Jesienią — piątego roku od swego przyjazdu, ksiądz Jodełka odprowadzał na cichy, ogrodzony kamiennym murem cmentarz zwłoki staruszka proboszcza.

A zmarło się proboszczowi dziwnie, tak jakby we śnie, cichutko. Siwutki proboszcz przed oknem w fotelu siedział. Kasztany złotymi listkami wieczorne szeptały pacierze. Echo dzwonów, na Anioł Pański, bijących, leciało kędyś daleko, aż poza czarny bór. Wszystko tak samo, jak minionych dni, może jeno smutniej trochę — bo niebo było chmurne, jak gdyby chciało jesienne łez kropki rzucać na ziemię. Wiatr strachliwy zimnym dreszczem przebiegał przez wszystko żyjące.

A gdy do dużego pokoju weszła Jagna z lampą i słowem Boga chwalać, proboszcz pierwszy raz, ku zdziwieniu służącej nie odpowiedział: „Na wieki wieków“. Jagna postawiła lampę na stole. „Proboszczowi się śpi — pomyślała — strudzony widać bard. niż zazwyczaj i wyszła.

Dzwony bić przestawały, dźwięk ich przysiadł gdzieś nisko przy ziemi za międzyborską plebanją co na górze stała. Liście starych kasztanów szeptać przestały. Niema, głęboka cisza zalegała wieś międzyborską.

— Czy podać już zacierki? — spytała Jagna wchodząc drugi raz do pokoju księdza, ale i tym razem proboszcz nie odpowiedział.

Jagna nie pamiętała by o tej porze ksiądz dobrodziej kiedy spał i jeszcze tak „zle w krzesło siedzący“.

Zawsze wołał: „Dawaj, dawaj żywo, widzisz już Marcin ze „świszkiem“ naokoło plebanji chodzi“. A dziś nic — ani słowa.

Naokoło stołu ostrożnie obeszła, patrzy: Na kolanach różaniec, lewa ręka wisi, a głowa też na piersiach zwisała.

I jeszcze Jagna wierzyć nie chciała.

Dopiero, kiedy klosz z lampy zdjęła i bladeść zobaczyła, a potem zimnej proboszcza dotknęła ręki — to krzyknęła z przestachu i łzami się zalała.

Zeszli się ludzie z wioski.

Proboszcza położyli na łóżku, kwiatami obstawili, świece zapalili i śpiewali, aż do jasnego świtania. Ksiądz wikary się modlił, kolan z ziemi całą noc nie unosząc, gdy na trzeci dzień ksiądz Wojciech „requiem“ zaśpiewał — międzyborski kościół aż się zachybotał od ludzkiego żalu.

A narodu było, jak tylko naodpuście widzieć było można... a później z cmentarza ludzie, jakby wyjść nie chcieli, jakby nie chcieli się z proboszczem rozstać — tak jakoś im było nijako zostawić samego dobrodziejca pod szeroką wierzbą która swoje leciuchne gałęzie ku ziemi zwiesiła, aż na wilgotny, złocisty piasek mogilny.

Po śmierci starego księdza proboszcza międzyborskiej parafji został ksiądz Wojciech Jodełka. Nowomianowany proboszcz odrazu zyskał sobie miłość parafjan — przez odnowienie zewnętrzne i wewnętrzne kościoła, który nieboszczyk był trochę zaniedbał.

Pozatem ksiądz Wojciech wszystkie wolne chwile spędzał na sadzeniu młodych drzewek. Szeroką drogę na cmentarz młodemi topolami przystroił, z ogrodu przy plebanji lipy przed bramę kościelną przesadził. A przystroiwszy wszystkie miejsca, które dotąd pustką świeciły — zachęcał parafjan, by podobnie około obojścia swego drzewa sadzili. Słaby, stromy ksiądz Wojciecha był niewielki ogród warzywny, ogrodzony wysokim parkanem z desek.

Małe kwadraty ziemi na wiosnę wyglądały jak z różnych tonów zieleni ułożona szachownica. Ciemną głęboką zielenią układały się liście truskawek. Delikatna sałata wspinała się do słońca.

ca. Grube, szorstkie, niby chłopa długa twarz nieogolona. — liście ogórków przysiadły ciężko leniwie na czarnej tłustej ziemi. Do tego maleńkiego ogródka proboszcz co wieczora pokolacji szedł ze świecą na polowanie. „Polowanie było ze względu na rodzaj zwierza jak i samego polowania nadzwyczaj pocieszne. Zwierzyną były rosówki. Ksiądz Wojciech w miękkich pantoflach, pochylony, trzymając w lewej ręce świecę — prawą zręcznie chwytając długie glisty, które następnie rzucał do blaszanego pudełka z ziemią. To pudełko zwykle nosiła Jagna, która nadzieić się nie mogła, że dobrodziej takie śliskie paskustwo w ręce bierze. Nazajutrz zazwyczaj proboszcz z wędką i blaszanym pudełkiem szedł nad stawydworskie skąd liny i karpie wyciągał, a czasem nawet z wielkim szczupokiem do domu wracał. W małym warzywnym ogródku ksiądz Wojciech pracował sam i jakby skrycie od ludzkich oczu. Znał ten proboszcz każdą piędź ziemi, a potem każdy listek najmniejszy. Do ogrodu wstępu nie miał nikt, prócz księdza; gościom, czasem i to nie wszystkim, pokazywać swój skarb raczył. Rok za rokiem — sływały w niepowrotne, minione, spokojnie

i zbożnie przeżyte lata w parafii międzyborskiej. Topole wysoko w górę strzeliły, lipy przed kościołem rozkrzyżowały szeroko gałęzie, pnie starych kasztanów mchem obrosły. I czarne włosy księdza Wojciecha zbielały. Na dobre źrenice proboszcza głębiej osunęła się powieka. — Nadchodziła starość, dobra, błogosławiona, spokojna starość.

— Cóż, w szczęściu i pokoju czeka się wezwania Bożego — odpowiadał na pytania o zdrowie ksiądz Wojciech. Mimo starości — proboszcz nic z trybu życia swego nie zmienił. Tak samo, jak dawniej pracował w ogródku, rosówki łapał, z wędką chodzi — jeno teraz częściej odpoczywał.

Siła lat minęła rządów księdza Wojciecha Jodelki.

Trzecie już pokolenie w biel przystrojone, przynosiło bławatki na majowe nabożeństwo do kościoła międzyborskiego. Święto Bożego Ciała minęło — przyszło lato z ciepłem i miłosiernym słońcem. Pewnego wieczoru, po zachodzie, gdy proboszcz, jak zazwyczaj, przechadzał się tam i z powrotem między zielonemi półkami, do ogródka wpadł organista.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kardynał Wiesemann

FABIOLA.

ROZDZIAŁ XXII.

Dzień krytyczny.

Są dni przesilenia w kolejach ludzkości. Każdy z nas, jakkolwiek małym i mało znaczącym być może, miał swój krytyczny dzień, dzień rozstajny, w którym obrał sobie drogę żywota; dzień, w którym palec Opatrzności ukazał się nad nim, wyrażając nie zmieniając położenie i stosunki z innymi ludźmi: dzień łaski, w którym duch ciała pokonał.

I tak też z Fabiolą; wszystko się zbiegało ku błogiemu przesileniu. Cesarz i niewolnica, ojciec i gość, źli i dobrzy, chrześcijanie i poganie, bogaci i ubodzy; dalej życie i śmierć, radość i smutek, nauka i prostota, milczenie i rozmowa; czyż nie było to wszystko opatrznem narzędziem, ciągnąc jej umysł różnemi drogami, a przeciw prowadząc szlachetną i wspaniałomyślną, choć wyniosłą i gwałtowną duszę ku jednemu celowi.

Po posłuchaniu udała się Fabiola do mieszkania Irenej, gdzie zastała także żalność i smutek, lecz widziała i czuła różnicę pomiędzy boleścią swoją, a boleścią tych, którzy ją otaczali. Oni byli przez połowę smutnymi, coś radosnego przez sam smutek spoglądało, chmury nad nimi były przezroczone a czasem opromienione. Biedną Fabiolę otaczała posępna i ciężka ciemność, bo straciła drogę osoby a nadziei nie miała. Miły i pożądny nauczyciel nie żył już na ziemi. Gdy tłum oddalił się od pałacu, pożegnała czule wdowę.

Powróciwszy do siebie, usiadła samotnie i próbowała czytać; przerzucała tom po tomie ulubione dzieła: o śmierci, o wielkoduszności, o przyjaźni, o cnocie, i każde wydało jej się nudne, próżne i nieszczerze. Wpadła w głęboki smutek, który trwał aż do wieczora, gdy ją nakoniec rozerwał list przyniesiony przez grecką niewolnicę. Zaledwie okiem rzuciła na papier zerwała się Fabiola z siedzenia, stała tak przez chwilę nieruchoma, przerażona, w końcu padła na krzesło z głębokim jękiem. Tak przez chwilę trzymając list na kolanach, siedziała jak nieprzytomna.

— Syro! kto przyniósł ten list? — spytała w końcu.

— Żołnierz — odrzuciła sługa.

— Powiedz mu, żeby tu przyszedł.

Gdy niewolnica wyszła, Fabiola przybrała zwykły swój wyraz. Jak tylko wszedł żołnierz, zapytała krótko:

— Zkąd przychodzisz?

— Jestem na straży przy tulliańskim więzieniu.

— Kto ci dał ten list?

— Agnieszka sama.

— Z jakiej przyczyny znajduje się w więzieniu?

— Oskarżona przez człowieka zwanego Fulwjuszem, że jest chrześcijanką.

— Oczywiście omyłka. Mogę zaświadczyć, że ją oskarżono fałszywie. Powiedz jej, że zaraz tam będę, a oto masz za fatygę.

Żołnierz odszedł, Fabiola została sama. Gdy była potrzeba działania, stawała się energiczną i czynną. Okryła się starannie i poszła sama do więzienia i wprowadzono ją od razu do osobnej celi, którą Agnieszka otrzymała przez wzgląd na wysokie urodzenie i wskutek podsuniętych przez rodziców bogatych darów.

— Co to ma znaczyć? Agnieszko! — zapytała Fabiola, po przywitaniu się serdecznem.

— Przytrzymali mię parę tygodni temu i tu przyprowadzili.

— A czy Fulwjusz takim jest głupcem jakim jest lotrem, aby wymyślać przeciw tobie oskarżenie, które w pięciu minutach może być obalone? Pójdę sama do Terullusa i zaprzeczę niedorzecznemu obwinieniu.

— Jakiemu obwinieniu, najdroższa?

— Że jesteś chrześcijanką.

— Bo też jestem chrześcijanką, dzięki Bogu, odrzekła Agnieszka.

To objawienie nie było już dla Fabioli uderzeniem piorunu, nie przeraziło jej, nie wzruszyło, dręszczem nie przejęło. Cios podobny nie mógł już być niespodzianym po zgonie Sebastjana.

Ten, w którym upatrywała wzór męskiej cnoty, umarł za tę wiarę, coż dziwnego, że Agnieszka, którą kochała jako wzór kobiecej cnoty i doskonałości, tę samą wyznawała wiarę. Prosta a wzniosła doskonałością tej dziewczynki, jej dziecinną niewinność, uprzejmość i słodycz u-

wielbiała całym sercem. Schyliła głowę z uszanowaniem przed Agnieszką i zapytała:

— Od jak dawna jesteś chrześcijanką?

— Od początku życia, droga Fabiola, wyssałam wiarę z mlekiem matki.

— Ale co z tobą będzie droga Agnieszko?

— Wyznałam wiarę swoją i zamierzam uczynić to jutro rano publicznie.

— Jutro rano?! Jutro! — zawołała Fabiola, przerażona na myśl czegoś tak nagłego.

— Tak jest, jutro. Dla zapobieżenia wszelkiemu rozruchowi lub obstawaniu za mną, mam być badana wcześniej z rana, a potem bez ociągania ostatecznie mają ze mną postąpić. Nie dobrze to wiadomości droga Fabjolo? — zapytała Agnieszka z uniesieniem. A potem z wyższym jeszcze zachwytem uniesienia zawołała: To czegom tak dawno pragnęła, ma się teraz spełnić, czuję się już złączoną w niebie z Bogiem moim, którego tu na ziemi całą miłością ukocham.

Fabioli serce rosło, jakby nowym nieznanym żywiołem napelnione. Przeczynała coś wielkiego. Agnieszka widziała szczęśliwą zmianę w umyśle ukochanej Fabioli, i wewnętrznie dziękowała Bogu. Prosiła Fabiolę, aby powróciła do niej przed dniem na ostatnie pożegnanie.

Fabiola poraz ostatni sama została z Agnieszką.

Agnieszka wzięła ręce jej w swoje ręce i patrząc w oblicze Fabioli z najczulszą miłością, mówiła:

— Fabiolo, mam jedną prośbę do ciebie przed śmiercią. Nigdyś mi nic nie odmówiła, pewna jestem, że i teraz nie odmówisz.

— Nie mów tak do mnie, najdroższa Agnieszko. Nie powinnaś mnie prosić. rozkazyj teraz.

— Więc obiecaj mi, że bezzwłocznie przyłożysz umysł do poznania nauki Chrystusa. Gdy na ciebie patrzę, widzę w tobie szlachetność, kochające serce, światły rozum, niepospolitą czułość sumienia i cnotliwe życie; a przecież nad temi wszystkimi przymiotami roztacza się mgła ciemna, bardzo zasmucająca oko, — cień śmierci. Rozpełdź tę mgłę a wszystko już będzie światłem i szczęściem.

— Czuję to już, stojąc przed tobą, droga Agnieszko, czuję się czarną plamą obok twej jasności. Powiedz, czy stając się chrześcijanką, stanę się tak jak ty jasną?

— Musisz przejść przez głębokie nurty, które nas przedzielają.

— A czy utracę to wszystko, coś we mnie chwaliła przed chwilą? — spytała zasmucona Fabiola.

— Jak ogrodnik, odrzekła męczennica, wybiera silne i mocne, lecz nieplodne drzewo, i na nim zaszczepia małą gałązkę słodkiego i delikatnego gatunku, a kwiaty i owoce tej gałązki są kwiatami i owocami pierwotnego pnia i nie ujmują urodzajem drzewu ani wdzięku, ani wielkości, ani siły, jaką pierwiej miało; tak też nowe życie wstąpi w ciebie, uszlachetni, podniesie i uświęci piękne dary natury i wychowania, które już posiadasz. Zaprawdę, wspaniałą istotę uczyni wiarą z ciebie Fabiolo!

W nowy cudowny świat wprowadzasz mnie, droga Agnieszko! Oh! gdybyś mię tylko nie zostawiła pod samym progami!

— Słyszysz? — zawołała Agnieszka w zachwycie radości. Idą! idą, słyszysz stąpanie żołnierzy w korytarzu? To drużby! przychodzą po mnie. Lecz ja widzę na wysokości biało ubrane

druhny, — idę naprzeciw Oblubieńca. Bywaj zdrowa Fabiolo! nie płacz za mną. Oh! gdybym ci mogła dać uczuć, jak sama czuję, jakie szczęście umierać dla Chrystusa! A teraz powiem ci słowo, którego dotąd nigdy nie przemówiła do ciebie. Niech cię Bóg błogosławi! — i uczyniła znak krzyża na czole Fabioli. Uściśnienie konwulsyjne ze strony Fabioli, spokojne i czule ze strony Agnieszki, było ostatniem ich ziemskim pożegnaniem. Fabiola pośpieszyła do domu z nowym szlachetnym zamiarem. — Agnieszka oddała się sama w ręce nieśmiało przystępującej straży.

Gdy stanęła przed trybunałem prefekta, sędzia siedział w otwartym forum; dość licznatłuszcza otaczała czarodziejskie koło przed trybunałem, do którego prócz chrześcijan, każdy się lekkał wstąpić. Dwie osoby, których powierzchowność zwracała ogólną uwagę, stały naprzeciwko siebie na dwóch końcach półkola plecami do widzów a twarzą do sędziego. Z jednej strony młodzieniec okryty togą, z kapeluszem spadającym na oczy tak, że poznanym być nie mógł, — z drugiej strony dama dystyngowanej postawy, wysoka, wyprostowana dumnie, jakiejby się nie spodziewano ujrzeć przy takiej okoliczności. Za tą panią stała niewolnica, sługa wyższego rzędu, również jak jej pani starannie osłonięta. Umysł damy zdawał się być zajęty jedynym tylko przedmiotem i stała też nieruchoma, wsparta o marmurową kolumnę.

Agnieszkę wprowadzono wewnątrz kratak, półkolem przegradzających trybunał od widzów, i stała nieustraszoną naprzeciw sędziego, który rzekł:

— Agnieszko! lituję się nad twoją młodością, nad twojem wysokim urodzeniem, i nad złem wychowaniem, któreś odebrała. Pragnę, jeśli być może, uratować cię. Namyśl się póki czas. Wyrzeknij się chrześcijaństwa, poddaj się cesarskiemu edyktowowi i czyn ofiarę bogom.

— Daremne jest, odrzekła, dłużej mię kuścić. Postanowienie moje niezmiennie. Gardzę twemi fałszywemi bóstwami, i kochać i służyć mogę tylko jednemu Bogu żywemu.

— Czas tracę, jak widzę, rzekł niecierpliwy sędzia, postrzegając oznaki współczucia w zgromadzeniu, — pisarzu! napisz wyrok!

— Skazujemy Agnieszkę za nieposzanowanie edyktów cesarskich, na ścięcie!

Agnieszka podniosła oczy do nieba, po chwili spokojnie uklękła, sama ściągnęła jasne swe wło sy odsłaniając szyję pod miecz. Nastąpiła ponura przerwa. Kat, drżący od wzruszenia, nie mógł utrzymać miecza, gdy tak dziecina klęczała, cała biała, z główką pochyloną, z rączkami skromnie złożonemi na piersiach, otoczona spływającemi do ziemi złotemi włosami.

Sędzia gniewnie łajał kata za ociąganie się i rozkazał natychmiast powinności dopełnić. Czło wiek ten zakrył oczy chropowatą lewą ręką, gdy podniósł miecz. Ujrano błysk stali w powietrzu i w tejże chwili kwiat i lodyga legły za ledwie od dzielone na ziemi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)